

ŻESZYT 6.

28 Marzec.

ŚWIATŁO

RÓK I

1920.



WŁODZIMIERZ KONIECZNY.

PORTRET WŁASNY.

WYSPA ZAPOMNIENIA.

ROZDZIAŁ III.

Kraju najpiękniejszy, nieznaną słodka ziemi! I ty płonące słońce!
I ty morze,
Wodo nieprzebrana,
Coś mi zakryła cały świat!
I wy drzewa wyniosłe
Cień dające i życie!
Przesłodkie owoce wasze,
Przyjazny wasz szept po nocy!
O drzewa moje, krzewy bujne!
I wy źródła chłodzące
I wy kwiaty, wy motyle!
Wy śpiewające ptaszęta,
Cudnoplóre, nieprzebrane!
O gwiazdy, gwiazdy bez liku!
Świąty ducha...
O bracia moi! O siostry moje
O przyjaciele rodzeni
Miłujący bez zdrady,
Wy wiecznie wierni, jedyni!
Chwała ci cudna ziemi
Czysta, młodzieńcza, dziewicza,
Ty, coś nie znała nigdy podlego człowieka.....

4)

ze sobą, przerzucaly i odrzucały sobie nawzajem girlandy ljan i pnączów, z których wiele zwisało pionowo nad samą wodą jak różnorodne lampy, zakończone pękiem liści lub kwiatów. Mrok i chłód leżał jeszcze w kurytarzu rzeki, który ożywiało wielogłośnie, wielobarwne ptactwo, snujące się już o tej porze w powietrzu, w gałęziach, na wodzie.

Z oddala z poza drzew miarowo, głucho हुआ w przyplýwie ocean.

Za chwilę wynurzy się słońce, stanie na zrębie skał i tryśnie tysiącem barw, które w tym przebogatym świecie drzemały jeszcze w głębokim cieniu. Za chwilę zabłysną w słońcu jaskrawe kwiaty, zaiskrzą się pióra bajecznych ptaków. Stanie w pełnym swoim przepychu rozpasana bujność życia.

Tę chwilę Jorg kochał i uwielbiał nadewszystko. Był to dla niego codziennie czas podzięk i modlitwy. Sam otem nie wiedząc, witał tę godzinę hymnem i śpiewał, wołając ku słońcu oderwane zdania, słowa bez związku, okrzyki wiecznie niesytego podziwu. Same dobywały się z niego słowa, same układały się melodie. Każdego poranka coraz inne, wyrażały one zawsze to samo: radość, spokój i koroną wdzięczność.

Jorg pracował nad naprawą łodzi i śpiewał. Zupełnie nagi, ogorzały na czarno, żwawo nakładał łaty z desek na uszkodzoną burtę. Na brzegu rzeki, pod nisko zwisającymi gałęziami z drzew stała chatka i szopa na palach, pełna skrzyń, beczek i najrozmaitszych rupieci. Ogień trzaskał wesoło pod nastawionym kociołkiem.

Stadko małych koziółków leżało obok w zwartej gromadce: z powagą przyglądało się robocie przy łodzi i z nastawionymi uważnie uszami słuchało śpiewania.

Wschodziło słońce, wylaniając się z za gór. Cała strona wyspy po tej stronie wzgórz leżała jeszcze w chłodzie i cieniu. Po zboczach kurzyły się obłoczki poranne wyrastające z gąszcza drzew jak dymy. Szybko wzbijały się w górę, szybko rosły i wnet, zetknawszy się z pierwszym promieniem słońca, stawały w różowym ogniu. Całe ich stada wędrowały, spiesząc ku słońcu, z krainy cienia i rosy.

Pozębiona linja gór odbijała się ostro i wyraźnie na tle czerwonego blasku. Dziwacznie powycinane szczyty, ich załamki, ostre szczeliny i łukowate przełęcz szły, wciąż wznosząc się i wciąż opadając aż do najwyższego wierzchołka, zniżały się po obu stronach horyzontu i ginęły w morzu.

Rzeka, spokojnie, powolnie tocząc swoje czarne wody, była obrośnięta gęstym pierwoborem, zwartym i zbitym. Gałęzie z obu stron stykały się

Wśród bezgranicznej swobody nowego życia, otoczony dziwami natury, gdzie wciąż jeszcze, co dzień odkrywał coraz to nowe cudy i tajemnice, zatracił siebie, zapomniał o wszystkim, co zostało hen daleko za szumiącym oceanem.

Nie wiedział jak dawno przebywa w tej krainie szczęścia. Miara czasu poniechała się jakby sama przez się, gdyż nie było tutaj jej potrzeby. Dzień za dniem biegł i mijał ani za powolnie ani za szybko. Wciąż nowy i odmienny, każdy pełen swoich małych wydarzeń, zdawał się jednak w istocie powtarzać się, odradzać się cudem po każdej nocy. I czas, nieliczony — ustał, nie istniał.

Przebywał wśród niezaznanej nigdy i nigdzie słodczy pełnego spokoju.

Szybko przeminął okres pierwszy, wstęp do nowego istnienia. Tygodnie ciężkiej, gorączkowej walki o byt, zwyczajny, zwierzęcy i ślepy strach człowieka o życie. Jorg bronił się zajadle — jak nigdy dotąd, jak gdyby przeczuwał, że za tym razem warto przemódz się i jakgdyby znał naprzód niedalekie swoje szczęście.

Wydobywał z okrętu, dźwigał ponad siły i ratował na ląd wszystko, co człowiekowi zda się być niezbędnem. Ładował skrzynie, beczki, worki, narzędzia. Bierał żelazto, sznury, strzepy żagli. Gromadził to bogactwo, jak nienasycony skąpiec. I za-

mordowały się na śmierć, gdyby mu ocean nie zaoszczędził trudu.

Z bezbrzeżnego przestworu nadleciał huragan, rozbijała się fala, okryła rafy, skały i mielizny pianą i rykiem. Przez całą noc wyła burza, a o świcie już znikł z wybrzeża kadłub okrętu wraz ze wszystkim co w sobie zawierał. Zostały jeno rozrzucone po rafach i po wybrzeżu deski i drzazgi. Poszła reszta na fali na dno lub w świat daleki.

Rozejrzał się rozbitek po uratowanym ładunku i struchlał. Starczy mu tego na długo, może i na cały rok...

A potem?

Nie spostrzegł, że troszczy się o dalsze swoje losy od czego odwykł już dawno, od wielu, wielu lat. Z ciekawą żądzą, z obawą, z nadzieją zaglądał w swój jutrzejszy dzień.

Rychło poznał, że niepotrzebnie się mozolił ponad siły, że napróżno się lękał. Błogosławiona kraina dawała człowiekowi wszystko bez miary i jeszcze ponadto. Dawała zadarmo, hojnie ciskała mu pod nogi i rozrzucała wokół dary i łaski swoje.

Żywiły i syciły palmy, nieznane, przestodkie owoce, jagody. Same przychodziły do brzegu świetne ryby i dawały się chwycić ręką lub prosto zabijać kijem. Leżały w piasku na każdym kroku gniazda pełne jaj. Do wyboru chwycić było można za skrzydła ptaki, nie strzegące się tu jeszcze człowieka.

Zbyteczną była wszelka odzież, niepotrzebny zabudowany, szczelny dom. Ustawiała tu walka o życie.

Jak w raj u ziemskim spadało z bark brzemień losu, codzienny trud w pocie czoła, przekleństwo człowieka na ziemi. Nie zginąłby tu i człek odarty ze wszystkiego i nagi, rzucony falą na ten brzeg.

Jorg zdołał uratować więcej, niż przydać mu się mogło. Niebawem też opamiętał się i wyzbył się wszelkiej troski o byt, poniechał niepotrzebnej pracy. Wypoczywał.

Wypoczywał długo jakby osłabły, w bezwładzie myśli; bez żadnego chcenia w duszy. Coś w nim zamierało na zawsze, przygasało. Mijały mu te dni jak w uśpieniu. Jak przez sen patrzył na świat nowy, niesłychany, niepodobny do wiary. Cudnie nieprawdziwy stał się on przed nim jak baśń dziecięca. Biernie i leniwie poddawał się jej czarom, pozwalał sobie wierzyć, że to sen, z którego nie warto się budzić. Już nie pytał, co będzie dalej, bo dziwnie znieruchomiał mu czas. Nie troszczył się więcej o siebie, bo siebie i cały ogromny świat swojej własnej istoty już przestawał jakgdyby odczuwać.

Była w tym ulga wyzwolenia, przedziwna lekkość. Wznosiła się ku czemuś nieszczęsna, skolatana w życiu głowa, ciężka i oczadziiała od myśli i rozpamiętywań.

Ktoś z niego zdejmował okowy przeklętej, wiecznie ciężkiej pamięci. Przyćmiewała się i pamięć krzywdy i pamięć zbrodni; gasły gorycze i żale. Już nie bolała krwawiąca żądza zemsty za siebie i pomsty na sobie...

Odeszły precz widma przeszłości.

Oswajał się ze swoim nowym światem, z tym, który go otaczał zewsząd rojem niezaznanych wrażeń.

Świat duszy zamarł, umilkł. Dziwnie lekko, bezmyślnie, jak bezrozumne dziecko żył we chwili i chwilą. Tak trwało.

Wciąż jeszcze z nienasyconą ciekawością badał i zwiadał swoją zaczarowaną krainę. Przenosił się, odchodził daleko od swojej siedziby i składu uratowanych skarbów. Tygodniami koczował w nowych miejscach, przywiązywał się do nich, obierał sobie coraz to nową siedzibę, coraz dogodniejszą, coraz piękniejszą, ale po tygodniach czy po miesiącach powracał zawsze na pierwotne swoje miejsce, nad rzekę opodal od brzegu morza.

Już poznał wybrzeże na przestrzeni kilkunastu mil. Okrążał niezliczone kwitnące zatoki, przebywał pustkowia, spalone przez słońce, zmyte przez ocean. Przedzierał się przez chaos kamieni zasianych szczątkami muszli, kośćmi ryb.

Gdzie tylko zdawał się być dostęp, podnosił się ku górcom, wgłęb lądu. Odważnie i chciwie wchodził w puszcze, walczył przez jakiś czas z gęstwina i zawsze ulegał. Rychło opasywała go zewsząd i ścisłała potężnie, do uduszenia, nieprzebita, zwarta, spleciona ze sobą masa korzeni, gałęzi, pnączów, kolczastych krzewów, pokręconych łodyg, potwornie rozrosłych jak płachty liści.

— Ani kroku dalej! — wołała puszcza.

Zawracał z trudem, tonął w ciasnocie, darł się przez gąszcz, błądził i nieraz padał z wyczerpania i głodu. Leżał w posępnym półmroku jak w krypcie grobowej w dzikim ostępie, tracąc nadzieję ratunku.

Pomimo tylu wycieczek znał zaledwie małą cząstkę wyspy. Poznał wąską połąć wybrzeża i kilka przesmyków, wiodących wgłęb, urwijających się niezmiennie na zbitej, ślepej ścianie nieprzebytych zarośli. Zamurowane, niedostępne były wszystkie doliny, zbiegające od gór.

Andrzej Strug.

(Ciąg dalszy nastąpi).

POEZJE.

PRZED HUTĄ.

Posępne czoła, blade lice,
Hurmem runęły na ulice
By stado mew.

Zbiły się. Raz wraz się srożą,
Wstrząsają pięścią, komuś grożą
Na ustach śpiew!

Z hut tłum wysypał wśród rozruchu
Porzucił pracę bez posłuchu —
Porzucił sam.

I szedł zażądać inżyniera
„Niechaj tu wyjdzie ta psiewiera,
Odpowie nam”!

„Hej, gdzie jest? Niech tu wyńdzie zara“
Krzyczy kobieta jakaś stara
U samych bram.

„Niech się pokaże piękna mina,
Od swego stołu, swego wina,
Od swoich dam”.

„Gdy nas tu praca z nóg obala,
Gdy oczy płomień nam wypala
On śmie nas bić”!

„Czy może będziem robotnicy
Zgłodniali czekać na ulicy —
I jak psy wyć?”

Tłum ryknął gniewem i żłowrogi
Pod naczelnika idzie progi,
Ze skargą swą.

Pienią się, srożą, pięść ściskają,
Rzucają klątwy, wygrażają,
Jak morze wrą...

Andrzej Chmurny.

BRAMA KRAKOWSKA W LUBLINIE.

Brama. Olbrzymi masyw spleśniałych kamieni
rozsiadł się ciężkim zwałem, wparł w ziemię pazury —
i czuwa — wieczny strażnik. A prastare mury
gryzie pleśń i nalotem porostów zieleni.
Chłodne przejście, nad głową splata ci gotyki
pierwotnych, nieudolnych łuków. Wnęki, nisze.
— — Uśmiech Świętej Paniarki ścicha się kołysze
poprzez krople dzwoniącej zegarów muzyki. —

JAPONJA.

Wachlarz z kości słoniowej — fijołkowe latarnie,
na bambusowych tyczkach z papieru kawiarnie.
Miękki jedwab kimona — purpurowe „obi“ —
dżonki — i nóżka mała, która kroki drobi.
Wązkie, podłużne oczy, uśmiechnięta gejsza,
melodja słów nieznaną i najdziwniejszą.
Słońce, co nad wybranym krajem jasno płonie
i kwitnące, śnieżystoróżowe jabłonie. —

Z. K.

Na marginesie chwili.

1.

Proletariuszu, który „nowy ład“ na ziemi zaprowa-
dzić pragniesz, pamiętaj, że ucisk, gwałt, przemoc
człowieka nad człowiekiem były po wsze wieki pod-
stawą niedoli i krzywdy milionów!

Proletariuszu, który ucisk, gwałt, przemoc pra-
gniesz usunąć z widowni stosunków międzyludzkich,
pamiętaj, że ciemnota, bezradność i rozbitcie miljo-
nów były przyczyną główną panowania mniejszości!

Proletariuszu, który ciemnotę, bezradność i roz-
bitcie szeregów własnych pragniesz zastąpić wiedzą,
świadomością celów życiowych i organizacją, pamię-
taj, że fundamentem trwałym, na którym wznosić się
mogą te czynniki mocy, może być tylko moralność
silna!

Proletariuszu, który przystępujesz do budowy
fundamentów pod moc i zwycięstwo jutra, pamiętaj,
że nienawiść, żądza zemsty i odwetu — to są czyn-

niki zniszczenia i rozbicia, że budować, tworzyć rze-
czy wielkie, może jeno miłość, ofiarność!

Proletariuszu, który przez miłość do życia i ludz-
kości występujesz do walki trudnej o jutro, pamiętaj,
że obłudniom, przygotowującym się do Godów,
przystoi wstrzemięźliwość!

2.

Powiadacie, że wobec bezmiarów wszechświata
prochem jeno jesteśmy, podległym jego nieugiętym
prawom, i że najwyższym stopniem naszej samowie-
dzy jest to zrozumieć i uświadomić sobie. A ja wam
powiadam, że dla mnie człowiek jest wszystkim,
i wszechświat ma tylko znaczenie o tyle, o ile jest
areną bytu człowieka, a zarazem wymiarem i skalą
jego rozwoju. Mój Bóg jest Bogo-człowiekiem. Za-
danie i drogi ludzkości — to wcielanie wieczne w tru-
dzie i męce... Boga.

3.

„Wolny wytwórca w warsztacie wysoko rozwiniętego społeczeństwa nie powinien mierzyć zużytych przezeń wysiłków jakąkolwiek miarą zewnętrzną; uważa on wszystkie dostarczone mu wzory za mierne, i stara się prześcignąć wszystko, co było przed nim wykonane“.

Tak wyobraża sobie wytwórcę wolnego wielki myśliciel francuski, Sorèl, i pisze dalej:

„To dążenie do stworzenia czegoś lepszego — przy całkowitym braku jakiegokolwiek osobistego, bezpośredniego i odpowiadającego pracy wynagrodzenia — stanowi cnotę tajemną, która zabezpiecza stały postęp na świecie“.

Zapewne, warunki, w jakich dziś pracuje i żyje wytwórca — najmita, nie pozwalają nam zbliżyć się nawet do tych idealnych wzorów.

Zapewne, aby mogli się narodzić tacy wolni wytwórcy, klasa najmitów musi wprzód wywalczyć warunki i odpowiednie formy bytu. Lecz już dziś proletarijat winien mieć ten idealny wzór przed oczyma, aby w ogniu walki nie zbroczył na manowce, nie stracić drogowskazu.

4.

Różnica pomiędzy światopoglądem a religią polega na tem, że pierwszy oznacza ujęcie wszechświata przez jednostkę, druga zaś — to samo ujęcie, lecz narzucone gromadzie i uświęcone przez nią.

5.

Wiedza systematyzuje nasze doświadczenie życiowe, filozofja — systematyzuje naszą wiedzę.

6.

Proletariusz — to najmita pracujący. Socjalizm — to ideologia pracujących najmitów, dążących do wyzwolenia się nie od pracy, bo ta jest podstawą bytu ludzkości, lecz od najemnictwa.

Najmita, który przestaje pracować na czas dłuższy, nieokreślony, bez względu na przyczyny, przestaje być proletariuszem, ideologia proletariacka staje mu się obca. Partja, której szeregi składają się z ludzi, którzy najmitami pracującymi być przestali lub nigdy najmitami nie byli, nie może być szermierką ideologii proletariackiej, choćby miała program socjalistyczny. To winni pamiętać ci wszyscy, którzy dbają nie o jakość, lecz o ilość.

Bronisław Siwik.

O SZTUCE LUDOWEJ.

W chacie góralskiej, zbudowanej z potężnych pni świerkowych, na poły porzniętych, tworzących od wewnątrz izby tak zwane „płany“ — równe, gładkie ociosy drzewne, rozdzielone od siebie cienką warstwą mchu, oświetlonej małym okienkiem, przez które widać było szmat zielonego zbrocza, modry, głęboki bór, lasem pokryte regle i łańcuch strzelisty białych, uroczystych szczytów, cicho wznoszących ponad ziemię swą wiekuiwą, wzniosłą krasę — w chacie tej, zdobnej w sprzęty uzdajane*) kształtem odrębnym, pokryte bogatą, oryginalną ornamentyką i wykonane w sposób nadzwyczajnie dokładny i mocny, z materiałów pieczołowicie dobranych, do której dźwirze w łuk zaciosane miały zwory belkowe kółkami nabijanemi zdobne, siedział sobie na rydlu z modrzewiu, rzniętym w kwiaty lelu, serca i gwiazdy, młody góral i myślał jaki by nadać kształt łyżnikowi, który z przywiezionego zeszej zimy z reglowych puszc i doskonale wysuszonego jaworu, chciał uzdajać. Już rąbanicą obrobił kształt ogólny łyżnika — była to podłużna deseczka, mniej więcej łokieć długości mająca, a teraz trzymając ją na kolorach i pozierając na potężne wizje gór,

szukał w duszy kształtu ozdób, któremi miał ją pokryć.

I w pierwotnej chłopskiej duszy człeka nie umiającego pisać ani czytać z książki, lecz umiającego patrzeć i wmyślać się w nieskończone obszary i głębin otaczającego bytu, wyłoniła się idea oddania na tym kawałku deski, symbolicznie, obrazu świata. A duszy Idea ta napęliła go promieniem szczęścia, zobaczył dzieło swe wyraźnie przedziwnym urokiem owiane, więc pełen uroczystego podniesienia ducha, wziął nożyk i na środku deski wyrzynał znak Boga, jako źródła i początku wszechrzeczy. Znak ten otoczył kręgiem, który nazwał Słońcem. Patrzył się długo w ten radosny znak i zdawało mu się, że czuje bijące od niego światło, krzepiące i ożywiające gorąco. Tajemniczy czar Wielkiego Wozu*) i Kos**) i niezmierny, wzniosły w swym ogromie zarys mlecznej drogi, uzmysłowił w szeregu rozmaitych gwiazd. Umieścił ich z każdej strony znaku Boga po trzy i każdą z tych trzech wyrobił inaczej. Brzegi deski

*) Wielki Wóz, albo Wielka Niedźwiedzica — gwiazdozbiór widoczny u nas każdej nocy pogodnej.

**) Kosy, kosiarze, ludowa nazwa: trzy gwiazdy, ułożone w linje, świecące w zimie, stanowiące „pas” gwiazdozbioru zwanego naukowo — Orjon.

*) W gwarze góralskiej „wykonane“.

wyrznął w kształt gór, w szczyty i przepaście, urwiska i nawisy, a całą resztę płaszczyzny pokrył nacięciami, których zarisy, splatając się z sobą tworzyły linje faliste i nazwał je Wodą.

Praca trwała długo. Z miłością i wytrwałą cierpliwością wracał mistrz do swego dzieła i walczył prymitywnym (prostym) swym narzędziem z twardej oporem materjału, aby wcielić w kształt swą wizję.

Gdy już dzieło było gotowe, aczkolwiek miał poczucie, że zrobił wszystko co mógł, aby je dobrze wykonać, ujrzał je małym i drobnym wobec ogromu swej pierwszej twórczej wizji. Niemniej szanował je jak odbłask tej szczytnej chwili twórczej i jej przypomnienie. Pokazał dzieło swe najbliższej rodzinie i przybił je uroczyście na ścianie, aby służyło do domowego użytku. Przybił w chacie jeden sprzęt,

który jak wszystkie tam znajdujące się sprzęty wykonany był z miłością i czcią dla piękna. Wkrótce, w całym najbliższych chat okolu, poszedł chyr (pogłos—słowa), że oto u młodego Gazdy powstał nowy łyżnik — nowy łyżnik! — I szli sąsiedzi i sąsiadki, młodzi i starzy oglądać nowe dzieło i długo patrzeli, rozważali, uczyli się i krytykowali.

A z jaworowej deseczki, zawieszanej na ścianie w głębi chaty uzdajanej z potężnych świerkowych bierwion, promieniał mistyczny znak Boga, gorzało życiodajne słońce, migotały się wielopromienne gwiazdy, wznosiły się i opadały zbocza przepaściste gór, a żywa, nieujęta, szumiąca woda, wiała się w głębokich falowaniach.

Taki oto łyżnik przez nieznanego chłopskiego artystę wyrzezany, dziś podajemy naszym czytelnikom.

Łyżnik góralski.



Grafika Włodzimierza Konecznego.



Wiktor Hugo w jednej ze swoich powieści powiedział, że czem katedra była dla wieków średnich, tem dla czasów nowożytnych staje się książka. Do słusznego tego poniekąd twierdzenia dodamy, że czem katedra średnio-

wieczna była dla ludu pod względem artystycznym, tem w czasach obecnych stanie się dla niego grafika.

Sztuka, istotna wielka sztuka, swobodna, wyzwolona z więzów bizantyjskich kanonów, rozwijała się bujnie przy końcu wieków średnich, w murach katedr i ratuszów.

Była to sztuka dostępna darmo dla warstw najszerszych, a więc nawskroś demokratyczna. Obecnie, gdy od kilku wieków Kościół przestał być siłą twórczą pod względem artystycznym i nie uznaje, z rzadkimi wyjątkami, swobodnego, w swym obrębie, wypowiedzania się indywidualności artystycznych — katedry i wogóle kościoły straciły swe dawne dodatnie znaczenie artystyczne.

Nie idzie się tam już dzisiaj jak przed wiekami, by znaleźć dzieła nowe, żywe i oryginalne, lecz

w najlepszym razie, by poznać zabytki dawnej, szlachetnej twórczości. U nas wielka, świecka sztuka dekoracyjna, związana z wnętrzami sal publicznego użytku, w związku z naszym położeniem politycznym, zupełnie zamarła.

Dźwignie ją zapewne nowa, demokratyczna Polska ludowa, dekorując szkoły, domy ludowe, sale związków zawodowych, rad miejskich i t. d.

Sztuka malarska odsunęła się od ludu, stała się dziedziną obcą dla niego i przeto niedostępną. Obrazy stalugowe wędrowały po krótkiej gościnie na wystawie w zacisze domów prywatnych nielicznych ludzi zamożnych, a choć tam w swym przypadkowym otoczeniu spełniają swą rolę podnoszenia życia duchowego, są jednak od nas odcięte. Widzimy więc, że sztuka ażeby się mogła stać demokratyczną, musi być związaną z dekorowaniem miejsc publicznego użytku, dostępnych dla szerszych mas.

Ale prócz wielkiej nowej sztuki dekoracyjnej, którą nam zapewne przyniesie rozwój proletariatu, cechy istotnie demokratyczne ma, jak to już rzekli-

Cechą zasadniczą graficznego dzieła jest możliwość mnożenia oryginału w wielkiej ilości egzemplarzy, przez co staje się on tanim i przystępnym dla wielu ludzi.

Zrozumiały tę prawdę najlepiej narody Dalekiego Wschodu: Chiny i Japonja. Tam wielka, przez genialnych artystów tworzona sztuka malarska, przez to, że wątkiem jej była grafika, przeważnie drzeworyt czarny lub kolorowy, który tam doszedł do niesłychanie wysokiego stopnia rozwoju, stała się sztuką ludową, sztuką przenikającą wszystkie narodowe warstwy.

W Europie grafika zaczęła rozwijać się na początku czasów nowożytnych. Najdawniejszy znany drzeworyt, wyobrażający św. Krzysztofa, datowany jest 1423 rokiem.

Na początku swego rozwoju grafika była sztuką ilustracyjną i zdobniczą w ścisłym zostającą związku z drukiem książek. Później staje się znakomitą odtwórczynią dzieł malarstwa stalugowego i freskowego. W ubiegłym stuleciu grafika występuje jako sztuka samodzielna zupełnie.

W krajach zachodniej Europy prawie każdy z lepszych artystów próbuje swych sił w dziedzinie grafiki. Akademie sztuk pięknych otwierają osobne kursy graficzne, tworzą się towarzystwa graficzne, ułatwiające artystom odbijanie dzieł na bardzo nieraz kosztownych prasach.

U nas rzeczy graficzne tworzy cały szereg artystów.

Sztuce graficznej, sztuce nawskroś demokratycznej życzyć należy jaknajwiększego u nas rozkwitu i rozpowszechnienia. Niechby oryginalne dzieła naszych artystów grafików zdobyły mieszkania warstw pracujących, zamiast wyrobów oleodrukowych, które są także grafiką, lecz grafiką fabryczną, nic wspólnego ze sztuką nie mającą, prócz tego, że ją psują.

W dzisiejszym numerze „Światła“ podajemy Czytelnikom niektóre dzieła graficzne artysty-rzeźbiarza Włodzimierza Konecznego. Dzieła te są wykonane sposobem fotograficznym i akwafortowym. Litografja, to dział grafiki względnie nowy; wynalazł go Sennefelder w Pradze, w roku 1771; polega ona na rysowaniu lub rytowaniu rysunku na kamieniu i odbijaniu na papierze.

Litograficznie wykonane są obrazy „Niektórzy z Katyrbóńców“ i „Konne Katyrbóńce“. Oryginał „Niektórych Katyrbóńców“ jest jednobarwny i prawie się nic nie różni od naszej reprodukcji. Jest to przedstawiona jakaś rada — zбір ludzi poważnych i dostojnych. Na litografji tej twarze uderzają delikatnością rysów, a czarne plamy sukien i czap mają w sobie przedziwną głębię i siłę.

Druga litografja to „Konne Katyrbóńce“. Dzieło to w oryginale odbite jest w dwóch barwach. Posta-

ci rysowane są czarną kredką, a niebo ma barwę szaro-błękitną. „Konne Katyrbóńce“, to rycerski, młodzieńczy pęd zbrojnych w dzidy wojów pierwotnych.

Litografja dobrze pojęta ma czar odrębny sobie właściwy, wypływający z techniki rysowania na kamieniu tuszem i kredą litograficzną. Koneczny tę właściwość litografji dobrze pojął, ocenił i potrafił wyzyskać.

Same, podane tu, prace graficzne Konecznego to akwaforty. Przy tworzeniu akwaforty rysunek zrobiony igłą, na pokrytej woskiem metalowej płycie, wytrawia się kwasem żrącym w głąb; następnie zmywa się wosk, nabija się przy pomocy odpowiedniego tamponu powstałe rowki farbą drukarską, którą z wierzchu ściera się delikatnie muslinową ściereczką, poczem kładzie się na płycie wilgotny papier, pokrywa się warstwą sukna i położywszy na deskę puszcza się między żelazne walce prasy o dużym ciśnieniu. W ten sposób papier włacza się w owe rowki napelnione farbą i rysunek zostaje odbity. Z tego bardzo krótkiego i niezupełnego opisu akwaforty, widać, że jest to technika wymagająca wiele umiejętności i pracy.

Na dwóch akwafortach Konecznego tu załączonych, artysta przedstawił nam w pełnych świeżej bezpośredniości dotknięcia igły rysunkach, dwoje dzieci z ludu.

Na akwafortcie „Zmierzch“, z wielką siłą wyobrażony jest tajemniczy niepokój i smutek, który czasem ogarnia duszę w chwili gdy zamiera jasność źródeł wszelkiego życia na ziemi—światło. W wyrazie twarzy młodzieńca wyglądającego z czarnej głębi izby przez okno, wokół którego pną się nagie wiosenne pędy, w ruchu jego rąk, wspartych na głowie, jest wiele wypowiedzianego z istoty zmierzchowej chwili, będącej zapowiedzią zbliżającej się, wrogiej człowiekowi siły—ciemności. Na stronie pierwszej umieszczamy autoportret Konecznego.

Główną dziedziną twórczości Włodzimierza Konecznego była rzeźba. Postaramy się zapoznać Czytelników „Światła“ z jego dziełami rzeźbiarskimi. Dużo też zostawił Koneczny prac literackich, które czekają wydania.

Postać Konecznego, który zginął jako oficer I Brygady Legjonów, jest bardzo piękna i będzie zapewne przedmiotem osobnego, poświęconego mu, studjum.

Już przed wojną Koneczny z zapałem studjował nauki wojskowe, gdyż, będąc czcicielem Piłsudskiego, wierzył, że tylko siłą będzie można zdobyć niepodległość.

Walczył lat kilka w szeregach, w roku 1916 zginął w bitwie pod Kostiuchnówką i zwłok jego nie odnaleziono. Żołnierze go uwielbiali, koledzy szanowali i kochali, gdyż był cichy, jasny, mądry i kochał Polskę i sztukę.



WŁ. KONIECZNY.

DZIEWCZYŃKA.



WŁ. KONIECZNY.

CHŁOPIEC.



WŁODZIMIERZ KONIECZNY.

KONNE KATYRBOŃCE.



WŁODZIMIERZ KONIECZNY.

ZMIERZCH.



WŁODZIMIERZ KONIECZNY.

NIKTÓRZY Z KATYRBOŃCÓW.

POKŁOSIE POLITYCZNE.



dy przed tygodniem zbieraliśmy nasze pokłosie, posiadaliśmy w Warszawie pierwsze zaledwie wiadomości o wybuchu i przebiegu wojskowej kontrrewolucji w Berlinie. Depesze pochodziły z mętnego źródła tej samej kontrrewolucji. Wojska uzurpatorów zajęły urzędową agencję prasową Wolffa i zasypały świat mnóstwem kłamliwych wieści. Dziś wiadomo już, że zamach Kappa i Lüttwitza, z poza których wзира dzisiaj wszystkim widoczna krwiożerca postać Ludendorffa złamał się o opór zorganizowanej masy robotniczej. Wbrew depeszom pierwotnym strajk udał się wyśmienicie. Stanęły koleje, tramwaje, gazownie, elektrownie, wodociągi. Automatycznie zamknęły się sklepy. Urzędy podobno oświadczyły się przeciwko uzurpatorom. Tak przynajmniej donoszą dzisiejsze dzienniki francuskie. Stanęły i barykady na placach Berlina. Kapp strzelał, mordował, aż sromotnie uciekł i Lüttwitz poszedł wnet za jego przykładem. Sen klas posiadających, obszarników, kamieniczników i bankierów — okazał się marą senną! Zdawało im się, że nadeszła godzina zemsty, że skończy się panowanie Ebertów i Scheidemanów. Dla nich i ci pokorni wykonawcy junkierskich pożądań i rozbojów byli nie tem czem są dla socjalistów, to jest renegatami, a — niebezpiecznymi komunistami! Tęsknili dawni bohaterowie Wrześni, za Wilhelmem i Hindenburgiem. Przyszedł Kapp. Wyciągały się twarde junkierskie dłonie, aby chwycić za gardło robotnika niemieckiego. Myślał Kapp, że ta klasa robotnicza, zdemoralizowana walką wewnętrzną, podzielona i rozgoryczona — zachowa się jak masy francuskie (niezorganizowane), jak chłopcy francuscy w okresie kontrrewolucji Bonapartego w roku 1851. Zawiódł się. Wnet zaszumiały po całym olbrzymim niemieckim kraju czerwone sztandary. Stanęło Drezno, Monachjum, Lipsk. Tu i owdzie popłynęła krew robotnicza. Obliczą z czasem, ilu robotników zginęło w walkach ulicznych. Przed paru miesiącami sekretarz partii socjalistycznej francuskiej Frossard jeździł do Szwajcarii, aby tam od socjalisty niezawisłego Crispiana dowiedzieć się o stanie umysłów w Niemczech. Crispian był przygnębiony: nie wierzył w szybkie odrodzenie się socjalizmu w Niemczech. Dziś pod wpływem zbrodniczego zamachu nowe życie wstąpiło w organizm zmęczony proletariatu niemieckiego. Stanęli do walki, niestety, spartakusowcy i niezawiśli. Opowiadają, że tu i owdzie proklamowano dyktatury proletariatu i powołano do życia rady robotnicze. Między innymi

w Essen, słynnej fortecy Kruppa. Ten epizod w dziejach rewolucji nieskończony jeszcze. Ale dziś już pierwsze jego etapy powinny poruszyć myśl rządów, myśl ministrów, myśl odpowiedzialnych całego świata czynników. Dawno już we Francji mówią: „milczenie ludów jest nauką królów”. Gdy ludy „milczą”, nie znaczy to, że się z losem swoim godzą. Gdy ludy „milczą” znaczy to, być może, że gromadzą się w nich gazy niezadowolenia, niszczycielskie żądze zemsty. Mądry, kto uprzedza, kto godzi się z wyrokami historii, kto rozumie, że stare formy istnienia muszą ustąpić nowym, że bagnietami godzi się we wrogów, ale siedzieć na nich nie można, że karabiny maszynowe nie leczą wrzodów społecznych, bezrobocia, nędzy i głodu. To wszystko rozumieją uważni czytelnicy popularnych podręczników Ekonomii Politycznej, ale nie zawsze chcą to rozumieć mężowie stanu, Im potrzebna jest, jak dzieciom „nauka o rzeczach”. Niechaj przyglądają się losom Kappów i Ludendorffów. Także losom feldfebla i renegata socjalistycznego, Noskego! Dość rzucić okiem na dzisiejszą pocztę paryską i londyńską. Wielcy dziennikarze chwytają się za głowę. Nie przewidzieliśmy. Marszałek Foch uważa, że Niemcy nie są jeszcze rozbrojone. Ale nie chce popierać przewrotu „monarchicznego”. Pan Millerand godzi się na rząd prawowity, jaki sobie naród niemiecki sam nada. Niewidzialna ręka kreśli na ścianach, kędy obradują rady ministrów różnych szczęśliwych krajów wyrazy złowróbnne, stare, jak Biblja: Mane — Tekel — Fares!

Na ostatnim kongresie Międzynarodówki przed wojną w Kopenhadze w pożegnalnej mowie powiedział wielki wódz Międzynarodówki Jan Jaurès w powołaniu na Szekspira: zginiesz, świecie kapitalizmu, nieprawdy i wyzysku, bo idzie na ciebie „zielony las”. Zginiecie rządy absolutyzmu, rządy bez prawa, rządy bez cnoty, rządy bez piękna, bo idzie na was nowy świat, nowa prawda, nowe formy życia, nowe formy piękna, nowa etyka.

W Londynie odbył się zjazd Trade-Unionów. Dobrze pamiętać, że Związki Zawodowe liczą w Anglii około pięciu milionów członków. Ścierają się w ich łonie różne kierunki i orientacje, od skrajnie lewicowych aż do konserwatywnych. We wrześniu Związek arcyważny kolejarzy dał się porwać skrajnej lewicy i zarządził strajk kolejowy. Skończył się ten strajk przegraną. Teraz po sześciu miesiącach Zjazd Związków Zawodowych wyprowadził taki morał z tego rewolucyjnego epizodu, że wypowiedział się olbrzymią większością głosów (3:1) przeciwko strajkowi powszechnemu. Uchwalił natomiast żądanie

unarodowienia kopalń podnieść do godności nakazu. Wybory przyszłe pod tym będą się odbywały hasłem. Wielka to zaiste chwila i dość zajrzeć do dzisiejszego numeru Times'a, aby się przekonać jak reaguje na ten rezultat obrad zjazdu opinia polityczna angielska. Unarodowienie kopalń! Wystarczy wystawić podobne hasło w zorganizowanym politycznie społeczeństwie angielskiem aby stworzyć nastrój, w którym wielkie reformy społeczne, których projekty drzemą od lat wielu w szufladach Ministerstwa Pracy, nagle zbudzone zostały z letargu i sfruwały na stół parlamentu. Ze strachu, a po części i z rozumu, ileż ustępstw poczynią właściciele kopalń. Chcecie mieć udział w administracji kopalń? Ależ prosimy: chodźcie i rządźcie z nami. (Lloyd George zapowiedział już, że najzupełniej pod tym względem zgadza się z... robotnikami!). Chcecie, aby

akcjonariusz nie pobierał wielkich dywidend. Ależ macie rację. Postokroć macie rację. Ksiądz poseł pouczał nas przecie cytując święte słowa Ewangelji: „kto nie pracuje, niechaj nie spożywa“. Żali akcjonariusz pracuje? Tak oto będą prawili rzeczownicy akcjonariuszów. A my będziemy słuchali. Może i Rada Przemysłowców sięgnie po rozum do głowy i posłucha? Nikomu w konserwatywnym Times'ie nie przychodzi do głowy wołać: gdzie są karabiny maszynowe? Przeciwnie cieszą, że wysoki rozum Trade-Union'ów odrzucił hasło strajku powszechnego. Czemże bowiem jest hasło unarodowienia (t. j. upaństwowienia kopalń) w porównaniu ze strajkiem powszechnym w przemysłowej i handlowej Anglii „z jego grozą i konsekwencjami“?

Rajmund Kucharski.



Militaryzacja.

Najmilsze to dzisiaj słowo dla wszystkich reakcjonistów w Polsce. I nie tylko w Polsce lecz wszędzie gdzie klasy posiadające nie czują zbyt silnego gruntu pod swemi nogami. Zdaje się im bowiem, że gdy robotników przedzierzną w żołnierzy i skrepują paragrafami wojskowej dyscypliny, uczynią z nich potulnych wykonawców swej woli, myślących tylko o zadośćuczynieniu pragnieniom panów.



Zmilitaryzowani kolejarze.

Próbowano więc tego środka we Francji. Podczas strejku kolejarzy zmilitaryzowano robotników kolejowych. Fotografia tu zamieszczona wyobraża właśnie takich robotników. Przepaska na ramieniu zamieniła ich w żołnierzy. Lecz obok dajemy foto-

grafję z tego samego kraju, dotyczącą tego samego czasu. Tłum robotniczy rozstrząsa sprawę militaryzacji i tłum ten zwyciężył. Militaryzację cofnięto. Gdyż nie złamie zorganizowanej klasy robotniczej tego lub innego koloru szmatka na ramieniu proletariusza. Siła klasowa, zbiorowa wola robotników zwycięży żądę zysku i spokojnego trawienia kapitalisty.

Może zaś sprowadzić inny, wręcz przeciwny zamierzonemu, skutek.

Wiadomo czem jest zbuntowane wojsko. Nie zna ono litości ni względów. Kogo ma za wroga, tego śmierć pewna. Uwojskowany robotnik, gdy przełamie więzy żołnierskiej dyscypliny stać się może jak zbuntowany żołnierz.

Akcja powoduje reakcję. Czem silniejsze będą więzy, tem straszniejszym będzie ich rozerwanie.



grafję z tego samego kraju, dotyczącą tego samego czasu. Tłum robotniczy rozstrząsa sprawę military-

Z niedawnej przeszłości.

Dzień 14 lutego 1918 roku był pierwszą od wybuchu wojny próbną mobilizacją sił robotniczej Polski w przededniu ostatecznej walki z okupantami. Na dzień ten Centralny Komitet Robotniczy Polskiej Partji Socjalistycznej proklamował powszechny strajk protestu przeciwko uchwałom haniebnego traktatu pokojowego w Brześciu, odrywającego od Polski całą ziemię Chełmską. Dwa dni wyteżonej pracy przygotowawczej wszystkich organizacji partyjnych przyczyniło się wielce do wytworzenia w biernych jeszcze naogół i steroryzowanych przez najeźdźców masach, gotowości przyłączyć się do planowanej akcji. Najwięcej odpowiedzialne zadanie spadało na organizację warszawską: do niej bowiem należał obowiązek wstrzymać w stolicy wszelki ruch, przede wszystkim zaś unieruchomić tramwaje. To ostatnie nastroczało poważne trudności, bowiem wojskowe władze, pod zarządem których pozostała komunikacja tramwajowa, od czasu strajku tramwajów w 1916 roku, zaprowadzili tam system terroru i niedopuszczali w żadnym wypadku do zatrzymania ruchu. Dlatego też Warszawski Okręgowy Komitet Robotniczy P. P. S. po zebraniu dokładnych informacji o możliwościach przyłączenia się tramwajarzy do ogólnego ruchu postanowił uciec się do innych zupełnie metod. Dnia 13 lutego wieczorem Okręgowy Komitet Robotniczy zwrócił się do Wydziału Pogotowia Bojowego z propozycją wydelegowania ludzi i materiałów wybuchowych do wysadzenia w powietrze centralnego transformatora, celem przerwania prądu elektrycznego na wszystkich liniach tramwajowych.

Około godziny pierwszej w nocy wysłani na akcję bojowcy założyli wewnątrz transformatora na rogu Chłodnej i Żelaznej lontową bombę, poczem zapaliwszy ją i wezwawszy do schronienia znajdujących się w pobliżu milicjanta i dorożkarza, poczęli się wycofywać z miejsca mającego nastąpić wybuchu. Wybuch nastąpił niebawem. Siła jego była tak wielka, że nie tylko został zdruzgotany transforma-

tor, a kawałki jego ścian zostały przerzucane na drugą stronę ulicy, ale ponadto wypadły wokoło wszystkie szyby w domach.



Wysadzony transformator przy ulicy Chłodnej.

Od rana 14 lutego ustał ruch tramwajów: podobno zniszczenie transformatora spaliło na elektrowni dynamo. Organizacja spełniła swe zadanie. Wstrzymanie komunikacji tramwajowej, wszystkich wahających się nawet upewniło, że to jest prawdziwy strajk powszechny, że organizacja robotnicza umie użyć wszystkich środków, gdy tego wymaga walka. Stały wszystkie warsztaty, ludność wyległa na ulice.

Rojne od ludzi chodniki, pozamykane sklepy i śliczny słoneczny dzień sprawiały wrażenie, że to jakieś uroczyste święto właśnie wszyscy obchodzą. Lecz groźne patrole wojskowe oraz oddziały uzbrojonych od stóp do głowy żołnierzy niemieckich, biwakujące na ulicach, lub szarże ułanów po chodnikach przypominały, że bliski już dzień walki z przemocą.

Polska szkoła świecka w Nowym Jorku.

Do niedawna jeszcze, wpływ duchowieństwa na emigrację polską w Stanach Zjednoczonych przypominał czasy średniowiecza. Cała niemal kilkamiljonowa masa wychodziła, za wyjątkiem stosunkowo nielicznego odłamu ludzi uświadomionych: żywiołów socjalistycznych, prowadzona była na pasku przez księży i ich sojuszników.

Ale dziś już daje się zauważyć pod tym względem duży zwrot ku lepszemu. Kler tak zdecydowanie stał zawsze po stronie wszelkiego rodzaju wrogów i wyzyskiwaczy ludu (uwidocznili się to już specjalnie wyraźnie w czasie wojny) — że obecnie, chociaż wpływ jego na masy niewątpliwie jeszcze istnieje, wylamywać się jednak z pod niego zaczy-

nają coraz szersze warstwy; coraz częściej można zauważyć, że stali bywalcy kościelni przychodzą na jakieś zebranie, lub odczyt — chociaż ksiądz im wyraźnie tego zabronił z amboiny.



Przedstawienie szkolne.

Jednym z wymownych dowodów tej zmiany jest fakt, iż polskie szkoły świeckie, które organizuje się obecnie w niektórych miastach Stanów Zjedn., cieszą się coraz większym poparciem polskiego ogółu, pomimo, że są usilnie zwalczane przez kościół. Nie prowadząc żadnej specjalnej anty-klerikalnej agitacji, dając poprostu dzieciom to, czego żadne szkoły parafialne daćby im nie były w stanie, a mianowicie: zdrową naukę w zdrowej atmosferze, są one wyrazem istotnych potrzeb ludu polskiego na emigracji.

Jedna z pierwszych takich szkół została założona w Nowym Jorku, w roku 1916, przez Związek Socjalistów Polskich; następnie przeszła pod zarząd Rady Oświatowej złączonych Towarzystw (Związek Socjal. Polskich, mający w Radzie Oświatowej swych przedstawicieli, wywiera w dalszym ciągu decydują-

cy wpływ na kierunek szkoły) i obecnie liczy już około 500 dzieci, pomimo, że w pierwszych dniach istnienia szkoły uczęszczało do niej zaledwie kilkanaścioro.

Szkoła nowojorska (wykłady odbywają się tylko raz tygodniowo: w niedziele) jest przeznaczona przede wszystkim dla tych dzieci polskich, które w ciągu tygodnia uczęszczają do szkół amerykańskich; kładzie też największy nacisk na naukę języka polskiego, historii i geografii polskiej; szeregami przedstawień w języku polskim stara się wpoić w dzieci świadomość narodową. Wogóle najważniejszym celem tej szkoły, jak i pokrewnych duchem szkół polskich w innych miastach Stanów Zjedn. jest uchronić to drugie pokolenie od wynarodowienia i możliwie jaknajlepiej przygotować je do powrotu do kraju.



Zakończenie roku w szkole nowojorskiej.

Jest to zadanie ważne i trudne.—Dotychczas akcja oświatowa wśród emigracji polskiej nie była prowadzona systematycznie. Szkoły, o których tu pisałam, mają przed sobą tem większe zadanie.

B. K.

Franciszka Ryczkowa — Stryjenka.

(Wspomnienie pośmiertne).



Franciszka Ryczkowa w przenośnym i faktycznym tego słowa znaczeniu — była stryjenką lubelskiej Organizacji Bojowej. Czy tylko lubelskiej?

Nie było w Polsce wybitniejszego bojowca, któryby nie znał Stryjenki i nie był u niej w Lublinie na Jezuickiej pod 13-tym.

Dużo było i jest ideowych i dobrych kobiet w szeregach P. P. S., ale żadna nie była tak kochaną i szanowaną przez bojowców, jak Stryjenka!

Więc, gdy tylko zdarzyła się okazja i wolny czas, to ze wszystkich stron Królestwa, jak młode orleńta do starego gniazda — zlatywali do Stryjenki.

Bywali tu: uwielbiany przez bojowców i pierwszy rycerz Polski—Franek Gibalski, Kuba Bojarski, dobroduszny Maciek, dla śmiechu „copką” zwany, nieulekły Froim, małomówny, ale zawsze słodko uśmiechający się Walek; bywał u Stryjenki Marcin

(Arciszewski), podziwiany i ukochany wódz bojowców; stale tu przesiadywali: Karol (Pączkowski), Kruk; a obecny nasz poseł na Sejm, Tadeusz Dymowski, chciał już nawet swój siennik przydygować na plecach, bo mu się nie opłacało chodzić do domu.

Stryjenka była wszystkim rada.

Dla każdego miała serdeczne słowo i słodki uśmiech dobrych ust, ale nadewszystko żywe i szczerze interesowanie się losem każdego, co, stwarzając w jej domu atmosferę czysto rodzinną, najbardziej jednało serca bojowców.

A gdy przychodziła na nich kolej i szli na śmierć „jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec”, to nikt ich tak nie żałował i też serdecznych tyle nie wyptakał po nich, co Stryjenka.

Wtedy ci, co pozostali, choć im żal było towarzysza, pocieszali Stryjenkę jak umieli:

— Dajcie już pokój, Stryjenko! Zginął, to zginął, bo i jakże inaczej? Pocóż żył?

— ... Że go niby powiesili?

— No, bo co mieli z nią zrobić? Mybyśmy ich pewnie też wieszali, gdybyśmy mieli czas, tylko to bieda, że czasu nie staje.

— ...Żal, powiadacie? Wiadomo — żal! ale nie tego, że umarł, jeno, że zawczasie umarł!“

Nie dawali długo płakać Stryjence; zresztą i nie było czasu. Co chwila przyjeżdżał ktoś świeży.

— Och, Stryjenko! Zjadłbym djabła z rogami i popił herbatą — gdybyście tak dali!

— Zaraz, zaraz — mówiła Stryjenka. Siadajcież. Piotruś, lećno synku, po wędlinę!

I lzy w oczach Stryjenki obsychały, na ustach wykwił uśmiech dobry — bo oto wchodził inny, nieoczekiwany wcale, gdyż siedział dotąd w więzieniu.

— Jesteście! Wypuścili Was? I jakże się czujecie? Te „mochy“, złodzieje, jeść Wam nie dawali, czy co? — wypytywała Stryjenka.

Tak było wciąż. Wiecznie była zajęta, na usługach tych, co w ciemną noc rozkuwali z kajdan niewoli Polski Lud.

Oskarżali potem Stryjenkę prokuratorzy, odbywały się rewizje, wreszcie nawet nocowali w mieszkaniu żandarmi, ale ledwie ci za próg — już, ku niemałemu przerażeniu Stryjenki, zjawiali się bojowcy i, uśmiechając się życzliwie, pytali:

— No, co, Stryjenko, byli?

— Byli, byli! — woła Stryjenka — bójcie się Boga, dopiero co poszli!

— E, jak dopiero co poszli, to nie prędko wróć, a nam się chce jeść i spać.

Wreszcie wydalili Stryjenkę żandarmi z Lublina, samą jedną, z małemi dziećmi na tułaczkę, na niedole...
Po pewnym czasie wraca Stryjenka.

W Polsce już inni żandarmi, a u Stryjenki znów składy broni i siedlisko walczących o Niepodległą, Ludową Polskę.

I znów to samo, co było dawniej, za czasów carskich żandarmów.

Inni są trochę teraz ludzie i nowi, lecz u Stryjenki na ustach wiecznie ten dobry, słodki uśmiech, jeno wesole kiedyś oczy — ogromnie teraz posmutniały.

Ale pracuje wciąż, jak dawniej — dla innych.

Nigdy nie miała Stryjenka spokoju ani wytchnienia i nigdy z nikąd żadnej pomocy.

I oto dowiaduję się, że Stryjenka umarła.



Stryjenka.

Dawno już czytałem list do Stryjenki pisany przez jednego bojowca na parę dni przed śmiercią.

„Powiesz mi, Stryjenko — pisał bojowiec — i niech ich tam! Ale mi żal, że już nigdy nie będę u Was na Jezuickiej i nigdy już nie zobaczę waszego dobrego uśmiechu“.

Andrzej Radek.

Z TEATRÓW.

TEATR PRASKI: „Gra serc“, sztuka w 3-ach aktach Kiedrzyńskiego.

Gra serc?—Raczej gra namiętności. Namiętności życia starego Orczyńskiego, stajnia wyścigowa, wielkopańskie fantazje i wesole życie zjadły cały majątek i zepchnęły jego rodzinę do roli materialnych nędzarzy, przeżywających szare dni na bruku zapadłego miasteczka. Namiętnością wprost natłogową jest pociąg p. Orczyńskiej do głupich powieści i romansów, stanowiących jedyny jego pokarm duchowy. Namiętność do pieniądzy i pospolitego użycia trawi młodego syna Orczyńskich, Julka, niedosłego dziedzica wielkiej fortuny, a obecnie nędznego urzędnika z telegrafu. Wreszcie uosobieniem namiętności i to najbardziej zmysłowej i ekspansywnej jest bohaterka dramatu, Irena. Obok nich, jak w starym zamku pokutujący duch, płacze się przez całą akcję sztuki postać romantyka krewnego Orczyńskiego Mora Morskiego. — Bujał w obłokach, budował szczytne gmachy ideałów społecznych, ale że nie umiał im dać realnych fundamentów, więc pod koniec życia pozostał osamotnionym rozbitkiem, zbierającym od małych i bezdusznych ludzi plon w postaci krwawych drwin, przycinków i szykan.

Szaro i smutno plecie się życie na partykularzu. Wzajemne wyrzuty, żale, pretensje rzucają ponury cień na pojęcie pogody i miłości rodzinnego ogniska. Jedyna jasna nuta to uczucie dwójga młodych. Irena pragnie utopić wspomnie-

nia burzliwej przeszłości w szczęściu chwili obecnej. Pragnie odrodzenia, bo kocha narzeczonego i ufa mu. Ale przyjeżdża krewny Orczyński, opiekun Romana, Radwan, ten, który pierwszy otworzył Irenie wrota zakazanego życia. Chce ratować swego wychowanka od zgubnego małżeństwa.

Pozornie mu się to udaje, ale ostrze czynu zwraca się przeciwko niemu samemu, bo Irena wobec wszystkich demaskuje Radwana, jako tego, który był powodem jej upadku.

Sztuka jest bezwątpienia dobrą sceniczną; napisała ją ręka zręczna i znająca teatr doskonale. Akcja sunie się żywo i zajmująco. Ale pod względem wewnętrznej struktury ma duże błędy, brak jej wewnętrznej wiązadła, nie jest spójna ani ścisła. Melancholijne reminiscencje Morskiego mają cechę cikliwą i sentymentalną i uspasabiają względem niego raczej krytycznie jak życzliwie. Morski ślamazarnie umie filozofować i narzekać; ale nie robi nic, aby się z szarej pajęczyny smutku i nudy wydobyć! Bezwątpienia łatwiej jest wzdychać i grać na gitarze, jak wziąć się do jakiejś pracy.

Figurę artystycznie i z wielką dozą obserwacji narysowaną jest postać Julka, syna Orczyńskich. Młody to kwiat, ale przeżarty rdzą cynizmu, zgłęty w twardej biurowej pracy, łakomy użycia i nie przebiegający w środkach dla nasycenia tego głodu. Z tej zepsutej duszy jak z bagniska wydzielają się zgniłe opary i zatruwają powietrze.

Halina Wilczyńska.

NOTATKI.

SPRAWIEDLIWOŚĆ KLASOWA.

Sądy nasze wydały w ostatnich czasach dwa wyroki, które przedziwnie splatają się z sobą, dając świetny obraz panującej dziś „sprawiedliwości”.

Morderców misji rosyjskiego Czerwonego Krzyża skazano na 1 do 2 lat więzienia, a tow. Choińskiego, robotnika — socjalistę, czynnego działacza P. P. S. za rozpędzenie w Rosji podczas rewolucji polskiej instytucji burżuazyjnej — na 4 lata więzienia.

Jakżeż rozciągliwa jest ta sprawiedliwość! Jakżeż różnie miarki przykładają do endeckich pupilków i wrogów endecji.

Sąd stwierdził, że porucznicy Lewicki i Łasocki podżegali do zabójstwa, że szeregowcy Lewicki i Kazior i por. Cyndler byli wykonawcami morderstwa, a prócz tego Kazior ukradł 1,200 rubli znalezionych przy trupach, a Cyndler zamordował w lutym 1919 r. Aleksandra Simsona.—Za to wszystko najwyższa kara (w stosunku do Cyndlera) wynosi 2 lata więzienia.

Byli wykonawcami rozkazów zwierzchności? Tak, ale rozkazów takich nie wolno spełniać nawet żołnierzowi. — Kto wydał te rozkazy? Czy starano się znaleźć prawdziwego sprawcę morderstwa? — Nie, sąd zadowolił się śmiercią jednego z uczestników zbrodni i na niego zwał całą winę. Dalej nie umiał i nie chciał sięgnąć.

Doszedłby bowiem wtedy do wysokich sfer, a tam wszyscy swoi ludzie. — Wyrok zapadł jak tylko być może najłagodniejszy. — I wogóle dziwimy się, że zachowano ten pozór kary.

Przecież złodziej i morderca Kazior, to sługa, człowiek bliski reakcji endeckiej, wykonawca jej planów, jej zamierzeń, przecież Cyndler, to uczeń endeckiej ewangelji: morduj przeciwnika — przecież cała ta kompanja według słów ich obrońcy, przywódcy endeckiego — Nowodworskiego to bohaterzy narodowi.

Co innego Choiński. To socjalista, rewolucjonista, wróg endecji, wróg czynny i stały. Trzeba go unieruchomić; trzeba złamać jego wolę i zdrowie; trzeba go wtrącić do więzień, by nie ludził się, iż żyje w wolnej Polsce.

Wkroczył on kiedyś w Wołogdzie, podczas napięcia walki z kontrrewolucją do Domu Polskiego, gdzie pankowie policy grali w karty, popijali piwko i gwarzyli o chamstwie [ludu]. Wkroczył i rozpędził ciepłą kompanję, zarządził oddania Domu na użytek wygnańców polskich, szukających przytułku dla swych organizacji i prac u obcych, u rosjan.

Straszne przestępstwo! Czyż nie wart on najsroźszej kary, kiedy zamącił spokój polskiej burżuazji na wygnaniu i głośno a stanowczo domagał się praw motłochu wygnańczego i prawa te dla niego zdobywał mimo i przeciw woli litościwych, dobroczynnych panów i panius?

Sąd nasz w mlg to zrozumiał, tembardziej, że Choiński był już skazywany przez rządy — na 10 lat katorgi za walkę o Niepodległość Polski w szeregach P. P. S.

To jednostka niepoprawna.

Za „rozruch“ w Wołogdzie skazany został przeło w Warszawie na 4 lata więzienia!

Sprawiedliwość potępiła Choińskiego i skarciła dobroliwie Kaziora. Dla wszystkich Choiński jest człowiekiem prawnym, uczciwym i ideowym. Kazior zaś mordercą i złodziejem, a stojący za nim zbrodniarzami, organizatorami morderstw.

I stanowczo sprawiedliwość nie jest ślepą i nieczułą. Rozróżnia ona kolory, i jedne z nich miłuje, innych nienawidzi. Miłuje kolor czarny, lęka się i nienawidzi czerwonego.

UPADEK STUDENTERJI.

W czasie naprężonej sytuacji, kiedy wazyła się sprawa powszechnego strajku robotników przeciwko militarystycznemu zapędowi rządu, który wcale nie po aptekarsku wymierzoną dawką reakcji chciał obdarzyć Polskę, zaprowadzając militaryzację elektrowni warszawskiej, burżuazja popierając swego magistra śniła na jawie złoty sen o swoim czynnie heroicznym zastąpieniu robotników przy ich warsztatach. Zorganizowały się więc przeróżne instytucje, w których poważni tuszą panowie, specjaliści od rozmaitych rodzajów przemysłu i handlu, ćwiczyli się i organizowali, by zastąpić strejkujących robotników i pokazać im, że ostatecznie i bez nich dadzą sobie rady.

I było wszystko wesoło, śmiesznie i dobrze. Warto było strajk nawet wyłonić dla samego tego, by zobaczyć różnych profesorów, dyrektorów, jak będą czyścili ullice i kanały, przewozili na dorożkach i sprząkali nieczystości z miejsc ich chwilowego ulokowania.

Nie często przecież zdarza się takie widowisko. Lecz zaszedł wtedy fakt, który nasuwa smutne myśli. Reakcja polska zdołała opanować młodzież akademicką. Studenci warszawscy w swej większości zgłosili zamiar wzięcia udziału w tej łamistrajkowskiej akcji.

Podkreślamy to jako fakt smutny. Nie groźne to dla proletariatu, ale smutne, kiedy się zważy. Iż młodzież uniwersytecka, która z natury swej młodości skłoną była do zrozumienia prawdy i poparcia walczących o wolność—dzisiaj cynicznie odrzuca wszelkie górne hasła i przed dojściem do pełnoletności bez skrupułów zapada w bagienko karierowiczowstwa.

Czyżby wyczerpały się zasoby duchowe młodzieży? Czyżby wśród tych kandydatów na przyszłych Inteligentów nie było już krzywej ideowości i wyłącznie panowała pokora i uwielbienie kapitału? —

Bowiem dwa oświadczenia Młodzieży socjalistycznej i Filarecji, cytowane swego czasu w prasie, a protestujące przeciw uchwałom wieców łamistrajkowskich, nie zdołają zrehabilitować ogółu młodzieży studenckiej.

Słowo „student“ po fakcie tym zatracą wszelki urok wolnościowej tradycji, a staje się jednoznaczne z pojęciem „kandydat na posadę“.—Uniwersytet zatracą charakter świątyni nauki, a staje się warsztatem, wytwarzającym potulnych pionków burżuazji.

W zeszycie 7-ym rozpoczynamy nowy dział: „Świat w obrazkach“, zawierający fotografie z życia różnych narodów i społeczeństw, zaznajamiający z najnowszymi wynalazkami, odkryciami naukowymi, ciekawymi zjawiskami przyrody i t. d.

HUMOR I SATYRA.

„Liga Pracy“ i S. S. S. utrzymuje Warszawę przy życiu.



Filtry działają normalnie.



Kanały zatkane.



Żadna praca nie hańbi.



Cuda elektryczności.



Niecenie światła.



Ciężka praca ma swoje jasne chwile.